

JAK IM PRZEBACZYĆ?

Czas bezprawia i grabieży

Agitatorzy komunistyczni od wielu lat krążyli po wioskach białoruskich i wbijali w głowy naiwnym wieśniakom, że władza sowiecka zapewni powszechny dobrobyt, a majątki ludzi bogatych będą rozdysponowane między nich.

Obuchowski „rewkom”, wierny naukom agitatorów, podjął uchwałę o konfiskacie mienia osadników. Uchwała nie precyzowała żadnych szczegółów o sposobach jej realizacji dlatego Białorusini, aktywniejsi politycznie, sami decydowali w jaki sposób wejść w posiadanie mienia osadników.

Zaledwie po dwóch dniach samowoli rozeszła się wiadomość, że duże ilości Wojska Polskiego opanowują Grodzieńszczyznę, przywracają porządek prawny i surowo karzą wszelkich rebeliantów i złodziei. Stłumiona została rebelia w Skidlu, a kilka pułków kawalerii, ze Zgrupowania „Wołkowysk”, posuwało się w kierunku Grodna, od strony Jezior i Skidla.

Natychmiast ustały grabieże, a ci, którzy dokonali już kradzieży, dyskretnie wypędzali na pole skradzione konie czy krowy. Niektóre zwierzęta same powróciły do zagród prawowitych właścicieli.

Po upadku obrony Grodna i w bójstwie osadników nastąpiła druga,

największa fala grabieży. Bez jakiegokolwiek przeszkód, w jawny sposób rozkradano gospodarstwa osadników. Nikt nie miał odwagi przeciwstawić się temu, bo w domach osadników przebywały tylko dzieci i wystraszone kobiety. Mężczyźni, których „rewkom” nie zdążył aresztować, ukrywali się nadal.

Rabusie mając poczucie pełnienia rewolucyjnej misji rozkułaczania zamożniejszych od siebie gospodarzy, pozostawiali im jednak minimalne zasoby, niezbędne do egzystencji w sowieckim państwie opiekuńczym.

U Szubów z ośmiu krów dojnych i kilku jałówek ostały się dwie stare krowy. Natomiast, gdy Paweł Aplewicz zabierał cztery okazałe tuczniaki, pozostawił w oborze maciorę, wprawdzie wychudzoną po niedawnym oproszeniu, ale i to było wyrazem jego życzliwości komunistycznej. Paweł Budryk, długoletni członek KPZB i członek „rewkomu”, wyprowadził ze stajni tylko jedną klacz chociaż mógł wziąć więcej, ale wyróżniał się wśród innych znajomością zasady: „każdemu według potrzeb.”

Gdy w oborach i stajniach niewiele już pozostało, obuchowcy zainteresowanie skierowali na stodoły, w których było dużo nie wymłóconego zboża. Ażeby zaopatrzyć się

w ziarno trzeba było dokonać młócenia ciężkich snopów we własnym zakresie. W pracach gospodarskich młócenie zboża zawsze należało do uciążliwych przedsięwzięć, a szczególnie, gdy nie było należytej mechanizacji.



Kościół w Żydomli. W nim osadnicy uczestniczyli w mszach św., brali śluby, chrzcili dzieci. Obecnie jest to cerkiew fot. Janusz Szuba

Stanisław Szuba jako jeden z pierwszych w osadzie kupił sze-rokomłotną młocarnię. Nabył też nowy kierat. Być może te okoliczności sprawiły, że dotychczasowy parobek Nikołaj Iwanowicz Patalo-

ta postanowił zorganizować młócenie zboża na własny i kolegów użytek. Do pomocy przyprowadził gromadę hałaśliwych rówieśników. Wszyscy byli w dobrych nastrojach, śmiali się głośno i przeklinali często. Wśród dziewczyn rej wodziła przysadzista Eugenia Szostka (później Bułaj). Prowadząc chłopaków do wulgarnych zalotów, na ich propozycje odpowiadała równie niewybrednym słownictwem.

Patalota, jako najbardziej obeznany z mechanizacją, ustawił swoich pomocników na poszczególnych stanowiskach pracy. Ledwie jednak zaczęło się młócenie, zaraz doszło do poważnej awarii. Jeszcze kierat nie nabrał właściwych obrotów, gdy ktoś wepchnął do młocarni duży snop, całkowicie blokując jej rotor. Tymczasem konie przy kieracie, popędzane batem, energicznie szarpnęły do przodu. Główna przekładnia kieratu nie wytrzymała naprężenia i rozsypała się z trzaskiem na kawałki. Ekipa Pataloty mocno zawiedziona długo oglądała uszkodzony kierat. Niestety, nie dało się go naprawić i trzeba było zrezygnować z młócenia zboża.

Pani Marianna widziała przez okno scenę uszkodzenia kieratu i nie przejęła się wcale. Natomiast konsternacja Pataloty i jego pomocników dostarczyła jej przekornej satysfakcji z tego, że nawet martwa natura odmawia posłuszeństwa złodziejom. Zauważyła również, że Patalota chodził w butach jej męża, nieco za dużych na jego nogi.

Towarzysze Pataloty, nie mając konkretnego zajęcia, rozpoczęli plądrowanie zabudowań gospodarczych. Dziewczyny wydoiły dwie krowy, uruchomiły centryfugę i z uzyskanej śmietany zaczęły ubijać masło. Później zajęły się krzątaniną przy kuchni, żeby ugotować kury zarżnięte przez chłopaków. Gdy pani Marianna zbliżyła się do kuchni, chcąc ugotować dla dzieci jakąś strawę, Eugenia odepchnęła ją biodrem.

– Wy, Szubowa ustąpcie miejsce, bo teraz chłopaki będą jedli. Wy w tym domu dosyć nagospodarowaliście i możecie zaczekać.

Zgraja najmłodszych chłopaków i dziewczyn nie dopuszczona do towarzystwa Pataloty, musiała zadowolić się otrząsaniem jabłoni i zrywaniem śliwek.

Nie zawsze cudze mienie przynosiło oczekiwane korzyści. Głośne stały się skutki rabunku u Górniczych. W piwnicy pod murowanym budynkiem, znajdowało się dużo konfitur, marmolad oraz innych przetworów. Rabusie, widząc duży

wybór łakomych rzeczy urządzili w piwnicy wielkie żarcie. Żołądki, nienawykłe do tak różnorodnej mieszanki pikantnych pokarmów, doznały gwałtownego rozstroju. W następstwie tego, amatorzy cudzego mienia nie mogli spokojnie powrócić do swojej wioski. Co kilkanaście kroków spuszczały spodnie i kucali, by sprawić ulgę rozbolałym brzuchom. W taki to, nieelegancki sposób, oznakowali ścieżkę wzdłuż brzegu Kotry, od Lerypola, aż do samych Kurpik.

Z polecenia sielsowietu

Na skraju Budowli, od strony Lerypola, w małym drewnianym domku mieszkała Stasia Szubówna razem z mężem Edwardem Nowakiem. Kilka dni po zabójstwie Nowaka do Stasi przyszedł Włodzimierz Aplewicz i polecił jej, żeby przeprowadziła się do Szubów, bo dom, w którym obecnie mieszka, będzie zajęty na cele służbowe.

– Z wyposażenia nie wolno niczego zabierać! Ani pościeli, ani garnków, bo u Szubów jest wszystko – powiedział Aplewicz. – Zabrać tylko osobiste łachy. Takie jest polecenie sielsowietu – dodał.

Stasia Nowakowa wykonała polecenie bez sprzeciwu, bo i tak, bojąc się sama mieszkać na uboczu osady, większość czasu spędzała u Szubów albo u Krupów. Później okazało się, że w domu Nowaków zamieszkał Wołodzia Aplewicz

wraz ze swoją konkubiną. Szubowie zajmowali obszerny dom, który kupili od kapitana Kazimierza Delatura na krótko przed wojną. Coraz częściej i głośniej mówiono, że taki duży dom będzie przeznaczony na szpital polowy dla wojska, albo na urząd dla miejscowych władz. Ludzie gadali, gadali i ... wygadali. Trzej uzbrojeni przedstawiciele sielsowietu nakazali Szubowej przeprowadzić się do Janiszewskiej z całą rodziną. Powiedzieli, że w domu należy pozostawić całe wyposażenie, a dobytek Janiszewskiej będzie od tej pory służył dwóm rodzinom. Dwie wielodzietne rodziny zamieszkały razem. Zakwaterowanie dwóch rodzin na niewielkiej przestrzeni, w normalnych warunkach, byłoby nie do zniesienia, mogło by wywoływać konflikty każdego dnia. Teraz więzi międzyludzkie, rodzin dotkniętych bolesnym nieszczęściem, układały się według zupełnie innych reguł. Janiszewska z zadowoleniem powitała Szubów w swoim domu. Po śmierci męża bała się mieszkać tylko z dziećmi, bez towarzystwa dorosłej osoby. Szczególnie dokuczliwe były dla niej stany lękowe podczas coraz dłuższych, jesiennych nocy. Przesiadując często u Szubów niejednokrotnie namawiała panią Mariannę do wspólnego zamieszkania.

– Siostró kochana – mówiła – zamieszkaj ze mną, bo jak przyjdą

nas zabijać, to razem będzie nam różniej umierać.

Pani Szubowa przyjęła nakaz sielsowietu ze spokojem. Dom, jego wyposażenie i cały wieloletni dorobek, nie stanowiły największego dobra, jakie można było utracić każdego następnego dnia. Własne życie, życie dzieci były największą i jedyną wartością, którą należało bronić za wszelką cenę. Cała reszta nie miała większego znaczenia, nie liczyła się...

Przechadzając się po mieszkaniu, które miała opuścić zatrzymała wzrok na różowym ceramicznym żyrandolu. Zamyśliła się. Przypomniała sobie dzień, w którym za zaoszczędzone pieniądze kupiła piękny żyrandol z ozdobną lampą naftową w środku i szklanymi wisiorami na obręczach. Ileż to było radości w domu, oglądania, przymierzania... Teraz dom niegdyś gwarny, ciepły i radosny, stał się szary i smutny. Uleciał z niego duch życia rodzinnego, teraz miał służyć wrogo usposobionym ludziom. Pani Marianna z bólem w sercu i przekorą zamachnęła szczotką do zmiatania. Z brzękiem posypały się na podłogę kawałki porcelany i szkła.

Z sąsiedniego pomieszczenia przybiegli nowi lokatorzy.

– Chciałam zetrzeć kurz i spaść mi żyrandol – wyjaśniła.

Jak się ratować?

Wielu osadnikom udało się uniknąć aresztowań i przeżyć czas krwawych rozpraw. Ratunek i pomoc znajdowali u krewniaków, zamieszkałych w okolicznych zaściankach, a także w domach życzliwych Białorusinów. Mieszkaniec Sawalówki Jakub Zmitrowicz przez kilka dni ukrywał w swoim domu sześciu osadników. Osadnik Józef Jagielski przez dwa tygodnie korzystał z kryjówki u innego Białorusina z Sawalówki o nazwisku Koszczyca. Zaś rodziny Wojciecha Tokarza i Piotra Krupy przez kilka nocy ukrywały się u Białorusina Totocia. Zamożny gospodarz Totoć nie należał do „rewkomu”, chociaż jego piwnicę na starym placu, obuchowcy samowolnie wykorzystywali na tymczasowy areszt.

W końcu września zaczęła wygasać furia morderstw i grabieży, formowała się nowa, sowiecka administracja terenowa. Ogłoszono, że panuje już ład i sowieckie prawo, które zapewni wszystkim dostatek i spokojne życie. Nie wierzono tym zapewnieniom, bo jakże można było sobie wyobrazić bezpieczne życie wśród morderców i złodziei. Osadnicy, którym udało się przeżyć krytyczne dni, ukrywali się nadal, bądź starali się uciec gdzieś na dłuższy czas.

Józef Jagielski po wyjściu z kryjówki u Koszczyca przekroczył granicę i wyjechał do Często-

chowy. Do Budowli powrócił podczas okupacji niemieckiej, ale nie zastał tu ani żony, ani dzieci.

Władysław Piotrowski i Kędziński już w pierwszych dniach po napaści sowietów, uciekli w rodzinne strony znajdujące się koło Osowca. Tam przetrwali do końca okupacji sowieckiej, a ich żony i dzieci, przebywające wciąż na gospodarstwach, zostały deportowane na Sybir. Podobny los spotkał żonę i dzieci Antoniego Szczerka, który ukrywał się u kuzynów żony w Obuchowiczach.

Metelski, pochodzący również z rejonu Ossowca, postanowił skorzystać z przykładu Piotrowskiego i Kędzińskiego. Porzucił gospodarstwo i z całą rodziną oraz siostrą Stanisławą, wdową po Janie Jagielskim, wyjechał w rodzinne strony.

Okoliczna ludność nie zadenucjowała osadników sowietom. Podczas okupacji niemieckiej wszyscy powrócili na swoje gospodarstwa w Budowli, będące już w użytku miejscowego kołchozu.

Józef Patyk ukrywał się początkowo na polu, później w lesie a następnie w obrębie własnych zabudowań. Gdy nastaly przymrozki wyjechał do Żytomierza, gdzie mieszkał brat jego żony. Tam też nie był bezpieczny. Po naradzie ze szwagrem postanowił przekroczyć granicę na Bugu i schronić się pod okupacją niemiecką. Żona i dzieci Patyka, a także rodzice żony Pel-

kowe, którzy nie byli osadnikami oraz jej bracia Wacek i Marian, 10 lutego podzielili los osadników.

Pierwsze udane ucieczki spowodowały, wśród innych rodzin, psychozę zagrożenia i potrzebę poszukiwania sposobu na ratunek. W zaciszach domowych, dyskutowano, naradzano się, zadając nieustannie pytanie: co robić, jak się ratować? Wszystkie wnioski sprowadzały się do stwierdzenia, że dalsze życie w osadach nie będzie dobre i bezpieczne.

Pewnego dnia rozeszła się sensacyjna wiadomość, że rodziny Zawadzkich i Tokarzów uciekły na stronę niemiecką. Nikt nie wiedział jak się to odbyło i czy obydwie rodziny szczęśliwie przekroczyły granicę. Dopiero wiele lat po wojnie dowiedzieliśmy się, że płatny przewodnik okazał się człowiekiem nieuczciwym, okradł ich i opuścił przed granicą. Nie orientując się dobrze w terenie błędzili, pogubili się, lecz po licznych taratach udało się im przekroczyć granicę wraz z innymi uciekinierami i bardziej doświadczonymi przemytnikami. Tokarzowie osiedlili się koło Leżajska, a Zawadzcy znaleźli dla siebie miejsce na dalsze życie w pobliżu Mińska Mazowieckiego.

Władze sowieckie systematycznie ograniczały swobodę poruszania się Polaków. Z Grodna docierały wiadomości, że granica sowiecko-niemiecka jest coraz lepiej strzeżo-

na i przejście jej jest coraz trudniejsze.

Najwięcej świeżych wiadomości przywoził z Grodna pewien operatywny kupiec – Franciszek Koniuszko, który już przed wojną, handlując żywcem, był częstym gościem w osadach. Teraz, gdy w Grodnie zarysowały się duże trudności aprowizacyjne, przedsiębiorczy pan Franciszek zajmował się nielegalnym handlem żywnością, osiągając z tego znaczne korzyści.

Szubowej dodawał otuchy i obiecywał, że wkrótce zorganizuje przeprowadzenie całej rodziny na niemiecką stronę. Namówił też panią Mariannę, żeby przeniosła się na czasowy pobyt do Grodna i zamieszkała w jego domu. Pani Marianna przystała na propozycję i od tej pory Koniuszko częściej zajeżdżał do Budowli, wywoząc stamtąd różne artykuły od worków z mąką, kaszą i grochem począwszy do mięsa i słoniny włącznie. Wszystko to było brane bezpłatnie na poczet przyszłego utrzymania w Grodnie rodziny Szubów. Gdy Koniuszko zgromadził duże zapasy, Szubowa z dziećmi i Stasią Nowakową przeniosła się do Grodna. Mając w planie rychłe przekroczenie granicy nie meldowała się w nowym miejscu zamieszkania.

Osamotniona Janiszewska poczuła się nieszczęśliwa i bezradna. Pragnęła bardzo opuścić Budowlę

i zamieszkać w Grodnie. Dzięki pomocy Szubowej oraz innych ludzi dobrej woli znaleziono kwatery dla niej i czwórki dzieci u polskiej patriotycznej rodziny.

Ucieczka z Lerypola

Nasz parobek Dymitr Afanasiewicz Kurpik już u nas nie pracował. Włóczęgą się po okolicy z karabinem na ramieniu służył teraz władzy sowieckiej. Polubił to zajęcie, bo nie było ciężkie i często mógł uczestniczyć w podziale łupów, bądź samodzielnie coś przywłaszczyc. Od korzyści materialnych ważniejsze jednak było dla niego to, że czuł się ważnym człowiekiem, od którego zależał los innych ludzi. Sami mogliśmy się o tym przekonać.

Kiedyś wstąpił do nas, ale jego odwiedziny nie miały charakteru prywatnego.

– Pokaż gdzie Tomczyk ukrył „aruzio”! Pokazuj, bo inaczej zaraz cię zastrzelę – groził mamie popychając ją karabinem.

Niegdyś grzeczny i przyjazny teraz był arogancki, a do mamy zwracał się przez „ty”, co kiedyś było nie do wyobrażenia.

– Nu! Pokaż, bo zastrelu!

Struchlałem z wrażenia, bałem się, że Dymitr lada chwila spełni swoją groźbę. Skoczyłem do niego, krzycząc by zostawił mamę w spokoju. Nie pamiętam co wykrzykiwałem, ani tego jak mnie Dymitr

uderzył. Nagle znalazłem się pod stołem, skąd wygramoliłem się z wielkim trudem.

Miałem również inne przykre przeżycia w tamtych dniach. Mogiła zbiorowa naszych ojców, usytuowana między działkami Górniczego i Barszcza była przez nas starannie pielęgnowana. Stolarz Płachetko wykonał estetyczne ogrodzenie i postawił wysoki, drewniany krzyż. Często wraz z gromadą dzieci nosiłem na mogiłę bukieciki, skromnych, jesiennych kwiatów. Na wstępie odmawialiśmy zbiorowo „wieczny odpoczynek”, a później starannie ubieraliśmy mogiłę przynoszonymi kwiatami. Jakże wielka był nasza rozpacz i poczucie krzywdy, gdy nazajutrz nasze kwiaty znajdowaliśmy rozrzucone w krzakach, a mogiła była zdeptana przez ludzi pozbawionych szacunku dla zmarłych.

Wyrzucanie kwiatów z mogiły, łamanie sztachetek w ogrodzeniu powtarzało się kilka razy. Wiedzieliśmy, że nie możemy czuć się bezpieczni, wśród ludzi wciąż pałających nienawiścią. Żyliśmy w nieustannym strachu i niepewności jutra. Dostrzegałem rozpacz i bezradność osób dorosłych, które dla nas dzieci, zawsze były gwarancją bezpieczeństwa. Budząc się często pośród nocy nasłuchiwałem czy naszego domu nie okrążają napastnicy, którzy będą nas mordować. Obmyślałem różne sposoby na ra-

tunek naszej rodziny. Chyba wtedy opuścił mnie na zawsze beztroski świat dziecka, chociaż miałem tylko siedem lat. Tamten zły czas wyłoblił wyraźne rysy w mojej psychice, bo przez szereg następnych miesięcy dręczyły mnie przerażające sny, wypełnione scenami morderstw i przemocy.

Sowieckie władze rozwiązały „rewkomy”, a na ich miejsce stworzyły cywilną administrację terenową, której najniższym szczeblem u nas był „sielsowiet”. Do obuchowskiego sielsowietu nie powołano nikogo z kierownictwa „rewkomu”. W takiej sytuacji sielsowiet nie czuł się obciążony zbrodniami pierwszych dni sowieckiej agresji, a nawet mógł głosić, że nic o nich nie wie.

Wydano zarządzenia ograniczające osadnikom swobodę przemieszczania się i swobodnego dysponowania posiadanym majątkiem. Chodziło o to, by osadnicy nie wyprzedawali mienia bądź nie wywozili do krewniaków, mieszkających w okolicznych szlacheckich zaściankach.

Te rygorystyczne zarządzenia stały się zrozumiałe dla nas dopiero po wielu latach. Okazało się, że już wtedy Sowietci posiadali przejrzyste sprecyzowane plany wobec osadników. Po deportacji rodzin majątki osadników stanowiły podstawową bazę materialną kolchozów, zakładanych już w pierwszym

kwartale 1940 roku. Natomiast konie, krowy oraz inny dobytek, rozgrabiony przez Białorusinów w dniach bezprawia, musiał być zwrócony do dyspozycji kolchozu. Dla białoruskich sympatyków władzy sowieckiej była to łagodna lekcja praworządności socjalistycznej.

Późną jesienią Teodozja Górnicka powiedziała mamie w sekrecie, że wkrótce z czwórką dzieci opuści Lerypol, bo jej kuzynka z Grodna, żona Jana Górnickiego znalazła dobrego przewodnika, który przeprowadzi ich przez zieloną granicę. Ciężko nam było rozstawać się z dobrymi sąsiadami, z którymi byliśmy bardzo zżyci.

Nasza mama napisała list do wujostwa Podgórskich, zamieszkałych w Kowlu donosząc, że jesteśmy w trudnej sytuacji i prosząc o radę co dalej robić. Nadeszła odpowiedź, że wkrótce przyjedzie do nas ktoś z rodziny. Przyjechał cioteczny brat mamy, może siedemnastoletni wtedy, Edmund Podgórski. Zorientowany w naszej sytuacji, obdarowany obficie artykułami spożywczymi, powrócił do Kowla. Wkrótce z Edmundem przyjechała ciotka Podgórska. Długo z mamą rozmawiała, w końcu orzekła, że jedynym rozwiązaniem w zaistniałej sytuacji może być tylko nasz wyjazd na Wołyń do Kowla.

– Moja droga – mówiła ciotka – nie zostawię was tutaj na pastwę losu. Zamieszkacie razem z nami

choć sami jesteśmy lokatorami u Ukraińca.

Po wyjeździe ciotki mama wtajemniczyła Cydzika w swoje zamiary. Pan Stanisław przyjął informację spokojnie, z pełnym zrozumieniem, jednak próbował uświadomić mamie dobre i złe strony ucieczki do miasta.

– Pani Heleno – mówił – w dużym mieście na pewno będzie bezpieczniejsze, to prawda, ale z czego będzie pani żyła? Gościna u rodziny jest dobra na kilka dni, a tam trzeba będzie pomieszkać...

Wywody Cydzika mocno przynębiły mamę.

– To niech pan radzi jak mam się ratować?

– Sam nie wiem co doradzić. W mieście będzie ciężko i tu zostawać też niedobrze. Naprawdę sam nie wiem... Niech pani jedzie do Kowla, co będę mógł spieniężyć to sprzedamy a uzyskane pieniądze prześlę pani.

Mama popłakała się i narada z Cydzikiem została zakończona.

Trudno było ukryć przygotowania do ucieczki z Lerypola, bo zawsze ktoś obcy penetrował osadę, a to chodził po domach i zapisywał na przydział nafty, a to roznosił przydziałową sól.

W czasie, gdy Cydzik łamał sobie głowę jak dyskretnie sprzedać coś z tegorocznych zbiorów, problem ten niejako rozwiązał się sam.

Przed naszym domem zatrzymał się wojskowy samochód ciężarowy i do mieszkania wszedł oficer z młodym żołdatem.

– Chazajka! Kupujemy kartoszkę, macie coś do sprzedania? – zapytał od przodu.

Mama zaskoczona zjawieniem się nieoczekiwanych gości milczała przez chwilę, zastanawiała się co odpowiedzieć.

– Mam dużo kartofli, ale nie wolno nam sprzedawać. Władza zabrania sprzedawać.

– Władza zabrania sprzedawać Armii Czerwonej? – zaśmiał się oficer. – Nam możesz wszystko sprzedawać, bo ja tu jestem władzą i ja daję zezwolenie.

Udała się pierwsza transakcja. Oficer zapłacił nowymi banknotami i wystawił kwit. Zaś widząc cały kopiec ziemniaków, koniczynę i owies w stodole obiecał przyjechać na kolejne zakupy.

Po kilku takich transakcjach z wojskiem przyszedł do nas Naum Tarasiewicz z wioski Pławy. Mama знаła osobiście Nauma. Jego brat, Piotr Tarasiewicz przed wojną był sołtysem w Pławach i cieszył się bardzo dobrą opinią. Naum natomiast mając przeszłość kryminalną przystał do konspiracyjnych komunistów.

– Wy Tomczukowa sprzedajecie koniczynę, wy sprzedajecie ziemniaki a jest zakazane – oznajmił, przekręcając brzmienie naszego na-

zwiska. – Trzeba będzie przyjść do sielsowietu i wyjaśnić tę sprawę.

– Wiem, że jest zakazane, ale oficer powiedział, że wojska zakazy nie dotyczą – tłumaczyła się mama. – Zagroził nawet, że kto będzie utrudniał zaopatrzenie Armii Czerwonej, to pójdzie pod sąd wojenny.

Słowo „sąd” zrobiło dostrzegalne wrażenie na starym kryminaliście. Zachmurzył się i złagodniał nieco.

– Prawidłowo, prawidłowo, Armia Czerwona nas wyzwoliła i musi dostać to, co jej potrzebne. No, ale trzeba przyjść do sielsowietu i wyjaśnić wszystko osobiście.

– Nie przyjdę, bo jak owdowiałam to wszystkie obowiązki spadły na głowę, gospodarka i dzieci... A poza tym jak wojskowi dowiedzą się, że chodziłam skarżyć się na nich, to i mnie mogą oddać pod sąd. Niech Naum sam wyjaśni wszystko czego dowiedział się ode mnie. O, tu są kwity wystawione przez oficera.

Naum miał szerokie dłonie i grube palce, które nigdy nie dotykały cienkich, papierowych dokumentów. Na kwity spozierał zezem z widocznym szacunkiem i nie próbował brać ich w swoje dłonie.

– Niech i tak będzie – stwierdził Naum – powtórzę dokładnie co tu powiedzieliście.

Pozostawiono mamę w spokoju i plan przygotowań do wyjazdu, uzgodniony z Cydzikiem, był zre-

alizowany pomyślnie. Mama gromadziła sowieckie banknoty za sprzedane zbiory, a pan Stanisław, pod osłoną wieczornego zmroku, wywoził wszystko, co uznawał za przydatne sobie.

Gdy nadszedł umówiony czas wyjazdu do Kowla ponownie przyjechał do nas Edmund Podgórski, tym razem z kolegą Mietkiem Wilńskim. Obydwaj chłopcy starali się zabrać jak najwięcej ciężkiego bagażu, żeby ulżyć nam, kiedy sami będziemy podróżować koleją.

Kilka dni po wyjeździe Edmunda Cydzik odwiedził nas na stację kolejową w Żydomli. Pan Stanisław doradził, by w Żydomli wykupić bilety do Grodna, a dopiero w Grodnie na dalszą podróż. Obawiał się, że w Żydomli ktoś mógłby zapamiętać dokąd kupowaliśmy bilety i w ten sposób mogła by się wydać nasza tajemnica.

Uciekaliśmy do Kowla z nadzieją, że tam, w gąszczu polskiej ludności miejskiej będziemy bezpieczni, unikniemy prześladowań za to, że ojciec służył w Legionach, walczył z bolszewikami i był osadnikiem. Ojciec już poniósł karę największą, a my jeszcze nie, jeszcze próbowaliśmy się ratować.

Cdn.